

# Königsberg – miasto Hannah Arendt

Kaliningrad to wielkie miasto, liczące prawie pół miliona mieszkańców. Tutejszy port należy do największych w byłym Związku Radzieckim. Jest tu uniwersytet, kilkanaście szkół wyższych i instytutów, są teatry, stadiony, muzea, kilka dworców kolejowych i lotnisko, wspaniałe parki. Jest jeden z najstarszych ogrodów zoologicznych w Europie. Miasto szczyli się swoim „największym synem”, Immanuelem Kantem, tudzież ogrodem botanicznym i przemysłową obróbką bursztynu, której jest światowym ośrodkiem. Tramwaje i autobusy są przepełnione, jak we wszystkich sowieckich miastach tłum kłębi się w pustych sklepach, wieczorami młodzież oblega nieliczne dyskoteki. Widać tu więcej zagranicznych samochodów niż w Rydze czy Sankt Petersburgu. To marynarze przywieźli je z Antwerpii i Hamburga. Stolicę obwodu kaliningradzkiego, który po upadku ZSRR stał się eksklawą oddzieloną od Rosji przez terytorium Litwy, kryzys byłego imperium dotknął w sposób szczególny. Ten do niedawna zamknięty obszar wojskowy, „sowiec-

ka pięć nad Bałtykiem”, ma się zmienić w strefę wolnego handlu. Miasto przez ponad czterdzieści lat niedostępne dla obcych otworzyło się dla przybyszów. Autokarowe wycieczki po zakupy do Polski są stale wyprzedane. Wodolot dociera do Elbląga w niecałe dwie godziny, do Gdańska – w cztery. Niemieckorosyjskie konsorcjum pracuje na kilka zmian nad uruchomieniem „berlinki”, jak nazywa się tu dziś dawną autostradę do Berlina. Bałtyjsk, dotychczas szczelnie zamknięty, ma zacząć przyjmować statki liniowe. Kaliningrad spogląda na Zachód i zbliża się do Zachodu. Tym samym zarówno miasto, które kiedyś nazywało się Königsberg, jak i cały kraj, który był niegdyś północną częścią Prus Wschodnich, znów pojawiają się na widnokręgu Niemców – bez względu na to, czy oni sami tego chcą, czy nie.

#### NIEWIDZIALNE MIASTO

Podróźni z Niemiec przybywający do Kaliningradu, czy to samolotem przez Rygę, czy pociągiem przez Wilno, czy wycarterowanym ekspresem „Königsberg”, który jedzie z Berlina trzynaście godzin, to podróźni szczególnego rodzaju. Ich oczy widzą rzeczy niedostrzegalne gołym okiem dla zwykłych turystów. Znają to miasto, choć jest im całkowicie obce. Szukają wzrokiem czegoś, czego nikt oprócz nich nie widzi. Orientują się w terenie lepiej niż niejeden historyk. Ci obcy opowiadają miejscowym, którzy znają tylko Kaliningrad, o mieście, które tu było, kiedy nie było jeszcze Kaliningradu. Pewność, z jaką ci podróźni poruszają się po obcym mieście, zdradza, że znają je równie dobrze, jak jego mieszkańcy. Zmierzają do celów, które są, choć ich nie ma. Podczas gdy zwyczajni turyści idą zwyczajną ulicą, oni

idą po śladach. Podążają tropem, którym nikt za nimi nie pójdzie. Wciąż rozglądają się za czymś, co mogłoby stanowić punkt oparcia w tych niekończących się blokowiskach z wielkiej płyty. Wpatrują się w jakiś budynek, jakby porównując, czy to ten sam, który przetrwał w ich głowie. Spuszczają oczy i zrezygnowani idą dalej, jeśli pamięć nie miała się o co zaczepić. Ich wskazujące coś na horyzoncie ręce szukają stałego punktu odniesienia, który pozwoliłby uporządkować, zorganizować przestrzeń. Największe emocje budzą drobiazgi, bez znaczenia przy odwiedzaniu innych miast: żeliwna pokrywa studzienki kanalizacyjnej, hydrant z napisem „Steinfurt”. Przed powyginaną skrzynką na listy z niemieckimi literami stają jak wryci. Zatrzymują się na zakręcie ulicy, dokładnie w tym miejscu, „gdzie zawsze tak zgrzytało, kiedy tramwaj skręcał”. Pokazują palcem powietrze, w którym nie ma nic. Ale tam właśnie był gabinet dentystyczny albo mieszkanie przyjaciółki. Ich program dnia jest forsowny, bo przemierzają pieszo ciągi ulic, na które nie zabłąka się żaden inny turysta. W sędziwym wieku przebywają raz jeszcze drogę do szkoły, którą chodzili jako dzieci. Tam, gdzie inni niczego się nie mogą dopatrzeć, oni pokazują restaurację Pelikan-Klause. Przy kawie, którą piją w hotelu Kaliningrad, w grę wchodzi coś jeszcze: nieobecność placu Gesekusa, którego miejsce zajmuje dziś hotel. W środku lata mówią o ślizgawce na Jeziorze Zamkowym. Na zboczach starych umocnień im, starym ludziom, przychodzi do głowy, że można by tu nieźle pojeździć na sankach. Rozmawiają o słonicy Jenny i słoniu Hansie z zoo, tak jakby ta para jeszcze żyła. Wymieniają nazwiska, których nikt już nie zna: zabitych starców, uprowadzonych dzieci, zgwałconych kobiet. Mówią o przystankach tramwajowych, których już nie ma, umawiają się na skrzyżowaniach ulic, które od dawna nazy-

wają się inaczej. Odwiedzają cmentarze, które zmieniły się w parki, stoją przed kościołem, który jest dziś teatrem lalek. Jeśli chodzi o mosty, nie liczy się wdzięk architektury, lecz to, że „to był ostatni most”, przez który można było uciec lub po którym przejechał „ostatni pociąg”. Skarpy przy Sammitter Allee są takie jak wszędzie, ale kiedyś to one pozwalały się ukryć i ocalić życie albo okazywały się za strome dla wycieńczonych uciekinierów. Piękne, klinkierowe budowle przy ulicy Klinicznej nie przypominają dawnych dobrych czasów, lecz wielkie umieranie rannych, stłoczonych w piwnicach, gdzie jedynymi, ostatnimi już bohaterami byli chirurdzy. Pod wyboistym asfaltem przybysze rozpoznają fundamenty wysadzonych w powietrze domów, w naturalnych zagłębieniach terenu – leje po bombach, a na placach zabaw – zbiorowe groby, do których wrzucano zwłoki. Wiedzą, gdzie jest cukiernia z najlepszym królewieckim marcepanem i kino, w którym zdążyli jeszcze obejrzeć *Tygrysa z Esznapuru*. Siedząc w taksówce, przemierzają raz jeszcze drogę, którą czarne kłębowisko ludzkie przemieszczało się w kierunku Piławy, ku ocalającemu morzu. Co do odległości, zdarzają się pomyłki: w marszach wokół miasta, zarządzanych po to, by ułatwić rabunek, uczestniczyli ludzie śmiertelnie wycieńczeni, nie zwykli spacerowicze. Nie wszyscy są pewni, kiedy znikła wielka synagoga na wyspie Lomse – to był rok 1938, nie 1944. Topografię przestrzeni, w której poruszają się zwiedzający, wyznaczyła przemoc. Są w niej miejsca odwetu i miejsca „łaskawego losu”, strefy, gdzie o przeżyciu decydowały pochodzenie, zbłąkany pocisk, żądza mordu, alkohol czy posiadanie zegarka. Niebo nad Kaliningradem jest błękitne i bez jednej chmurki, ale w pamięci to miasto, spośród którego mieszkańców w 1947 roku pozostało przy życiu zaledwie dwadzieścia pięć tysięcy, trwa jakby osmalo-

ne, cuchnące rozkładem. Tam, gdzie teraz spacerują, wtedy polowano na ludzi. W Kaliningradzie dominuje prostokąt bloku, w Königsbergu wiosną 1945 roku jak rybnie ości sterczą w niebo ruiny. Przybliżony obraz ginącego miasta daje nadrealistyczny model, wystawiony na pokaz w bunkrze pod placem Parad, naprzeciwko uniwersytetu; wykonano go z masy papierowej. Odpoczynek po męczących poszukiwaniach miasta, którego już nie ma, przybysze znajdują tam, gdzie przetrwało ono bez uszczerbku – w zamożnych dzielnicach Amalienau, Maraunenhof, Mittelhufen i Vorderhufen. Tam przynajmniej niektóre ulice nazywają się tak jak wtedy: Schillera czy Händla na przykład.

## NA SKRAJU KANIONU

Odwiedzający Kaliningrad przybysze z Königsberga żyją z tajemnicą. Wiedzą coś, co wiedzą tylko tacy jak oni, osaczeni pod koniec wojny w Prusach Wschodnich. Wieczorem przesiadują razem przy stolikach w barze przerobionego na hotel statku „Georgi Dymitrow”, który cumuje na Nowej Pregole naprzeciwko giełdy. Może właśnie wrócili z wycieczki w głąb kraju, do Tylży – dzisiejszego Sowiecka – czy Insterburga [Wystrucia] – dziś Czerniachowska. Oburzają się, że polscy pogranicznicy zawrócili ich na linii demarkacyjnej dzielącej dawne Prusy Wschodnie i że musieli jechać przez Litwę, żeby ze swojej rodzinnej miejscowości dotrzeć do sąsiedniej, leżącej już w Rosji. Rozmawiają o tym, jak czasy się zmieniły. Jeszcze kilka lat temu północna część Prus Wschodnich była niedostępna niczym czujnie strzeżony skarb. Fotografowanie równało się szpiegostwu, choć przecież chodziło tylko o to, żeby odświeżyć splotwia-